Lwów 10. Listopada № 134 Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartał. **1** Złr. **20** kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

II.

Narada rodzinna.

(Ciąg dalszy).

Drzwi się otworzyły, i weszła kobieta na której widok oczy męża upadły na dół, a oczy szwagra podniosły się z wyrazem takiej słodyczy, jakiej trudno było się spodziewać po męskiem i hartownem usposobieniu starego żołnierza.

Cała powierzchowność pani hrabiny Zofii była tego rodzaju, iż wszędzie i zawsze silne robiła wrażenie, i mimowolnie zostawała w pamięci. Nie tyle w niej uderzały kształty ciała, jakkolwiek rysy miała regularne, lecz trzeba się było w nie patrzyć, by ocenić ich klasyczną piękność. Najwięcej uderzał wyraz na całej twarzy rozlany, wyraz nie codzienny, ale nadzwyczajny i uderzający wyższością jakąś, która rzadko zapewne, ale przecie czasem w niektórych pojawach świadczy niejako o atystokracji nie krwi, ale duszy. Mimo lat czterdziestu była to jeszcze kobieta bardzo przystojna; co ubywało z młodości wieku, to jej dodawała młodość duszy i serca, i ta właśnie stanowiła ten szczególny urok, jaki ona wywierała, i przykowała niejako każde spojrzenie, każdą myśl patrzącego. Tym wyrazem, tym urokiem była po prostu poezja wewnętrzna, poezja uczuć i myśli, która rozpłomienia wewnętrzną powłokę, jakby ogień kryjącą go obsłonę lampy. I powłoka ta doskonale odpowiadała wyrazowi bijącemu z wewnątrz; bo płeć jej była biała i przeźroczysta, oczy jasne, że się przez nie aż do głębi serca wglądało; a nad tem wszystkiem unosiły się jakby lekkie obłoczki włosy jasno-blond, tej barwy mglistej, która mimowolnie wprowadza w jakieś rzeczby można ossjanowe marzenia. Jednem słowem, w całej powierzchowności tej kobiety, w jej nawet nadzwyczaj gibkiej postawie było coś idealnego, coś nieziemskiego prawie, czemu pomagało takie to jej rozmarzenie w oczach, których wzrok zamyślony zdawał się sięgać po za ziemskie granice. A jeżeli było co w niej ziemskiego, to ta poczciwa słodycz w spojrzeniu, to ten rys smutku koło ust. Widać, że ta kobieta cierpiała, i z cierpień wyciągnęła nie mściwą gorycz, ale prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie, pocieszać żądne.

Lecz jakimże sposobem mogła zostać żoną takiego człowieka prozaicznego, dyplomaty niedościgłego, zimnego samoluba, jakim był graf Ignacy? było to pytanie, które sobie każdy zadawał po pierwszem pobieżnem poznaniu obojga. Odpowiedź na to pytanie leży niestety w rzeczywistości zwykłego świata, która nam wskazuje nieskończoną liczbę podobnych wypadków. Wół z pegazem, powiązane razem do pługu życia, jest to częstsze niż myślimy wydarzenie. Jeśli mężczyzna jest pegazem w takiej parze, to się przynajmniej wyrwie, pług życia zostawi daleko za sobą w błocie i poleci choćby na złamanie karku. Ale jeżeli nim jest kobieta, pozostanie w pługu, najczęściej niepoznaną lub zapoznaną, dla Boga tylko i jego na ziemi natchnionych proroków aureolą poświęcenia i rezygnacji, gdyby wieńcem świętej męczenniczki, opromieniona.

Taką była pani Zofia w chwili, w której pierwszy raz na scenę powieści naszej występuje ze środka kwiatów cieplarni, stanowiących godną tego pięknego pojawu ramę.

Dni jej zamęzcia i jej życia krótkie i zwyczajne a nie zbyt wesołe. Rodzice jej byli ludzie wyjątkowi, jacy się i pod naszem zimnem niebem społecznem trafiają. Dobrze urodzeni, majętni, nie żyli dla świata i jego znakomitych fraszek, ale dla siebie w cichej ustroni wiejskiej, z wiarą w dobrego Boga, który ich połączył z myślą wyższą, nieco może za poetyczną na prozę życia, i z miłością w sercu ku sobie tak gorącą, że starczyła na ciepłe promienie, oświecające i ogrzewające nie jedną obcą niedolę. Strata kilkorga dzieci rzuciła cień smutku w ich samotne pożycie i ukróciła im życia. Pieszczotną i bojaźliwą nieco ich miłością otulona, rosła młoda Zosia w urodę, w myśli wyższe i najczystsze uczucia, ale w takiem życiu nie mogła nabrać doświadczenia, któreby sprostało próbom życia, nie mogła nabyć tej siły hartownej, którąby wystarczyła na mnogie tego życia walki. Nauczyła się marzyć, modlić się, kochać, ale czyliż to wystarczy na pierwsze cierpienie? To też gdy przyszło to cierpienie, a los go jej nie szczędził, cóż się z marzeń, modlitwy i miłości wyrobić w niej mogło, jeżeli nie potulna rezygnacja?

Pierwszym okropnym dla piętnastoletniego dziewczęcia ciosem była śmierć rodziców, którzy w przeciągu dni

kilku pomarli oboje. Łzy sieroctwa ciężko spadają na serce, bolesne w nim na całe życie zostawując ślady. Biedna Zosia w wieku dziecka, w wieku swawoli, pożegnała się na zawsze z swobodą dziecka i dziewczęcia wesołością. Opiekunem jej został daleki krewny, bo bliższych nie miała. Był to człowiek prawy, sumienny, niezdolny oszukać, ale zimny, rachunkowy, niezdolny do uczuć mocniejszych. Żył w wielkim świecie i tam biedną sierotę pociągnął za sobą. Po kilku dniach pojął, że się nigdy z sobą zrozumieć nie mogli, starał się więc co prędzej pozbyć tego ciężaru uczuciowego ze swemu domu nie uczuciowego.

Umiał sobie dać rady ze wszystkiem, ale nie ze łzami czułej dziewczynki, na które nie pomagały ani piękne stroje, ani stoleczne zabawy, ani salonowe wygódki. Postanowił więc co prędzej wywiązać się z obowiązków opiekuna, wydając ją dobrze za mąż. A to *dobrze* jak się tłumaczy w świecie, do którego należał opiekun Zofii, każdy wie, który jakąkolwiek z tym światem miał styczność. Na horyzoncie stołecznym jaśniał wówczas pan Ignacy. Został świeżo grafem, miał wszystkie zalety salonowe, i rzetelniejsze pięknego urodzenia i znacznego majątku w ziemi, który chociaż nadszastany trochę, łatwo było podreperować posagiem Zofii. A więc wydał ją dobrze, bo za grafa Ignacego, którego osobiście lubił jako człowieka zbliżonego do siebie całem egoistycznem usposobieniem.

Cóż mogła powiedzieć siedmnastoletnia dziewczyna, której tak cudzo, tak zimno było po za domem rodzicielskim, pustym już dzisiaj, bo ci nie żyją, którzy byli jego duszą. Pan Ignacy nie był brzydki, a przytem jako wykształcony światowiec, umiał dobrze i wymownie mówić, kłamać, deklamować. Nie czuła do niego żadnego pociągu, ale i odrazy nie miała; przypomniała sobie pożycie szczęśliwe rodziców. Biedne to dziecko, myślało że i ona w nowym stanie znajdzie choć cząstkę tego ciepła serdecznego, bez którego było jej tak zimno, za którem było jej tak tęskno. Dla czegóż więc przystać nie miała.

Była jednakże chwila wahania się, gdy narzeczony przyprowadził i przedstawił brata swego, pana Stanisława. Młode dziewczę zadrzało pod jego spojrzeniem męzkiem, pełnem życia i ognia; a to spojrzenie długo, przeciągle i z dziwnym wyrazem spoczęło na niej. Mimo całego niedoświadczenia odgadła ona pana Stanisława lepiej od drugich, którym zimna jego i purytańska prawie surowość, tak dziwnie odbijająca od owych czasów bezmyślnej wesołości, nie przypadła do smaku. Ona w surowej twarzy odgadła dobroć, a w spojrzeniu dostrzegła serce. I żywiej niż kiedykolwiek przypomniała sobie rodziców, którzy ją tak serdecznie kochali. Gorąca łza spłynęła po długiej rzęsie, i o dziwo! w męskiem przyszłego szwagra oku zdało się jej postrzedz jedną łzę taką. Najsilniejsza jest sympatja łez, których krynica jest serce. Zosia uczuła sympatją do pana Stanisława. Czy nic więcej nie uczuła? Czyliż niedoświadczona dziewczyna mogła zrozumieć lepiej własne uczucie? i gdyby nawet zrozumiała, czyliż byłaby w stanie oprzeć się woli opiekuna i zbiegowi okoliczności, które już ją spętały swemi silnemi ogniwami. Ani też pan Stanisław mógł jej ułatwić sposób ten zrozumienia siebie. Za nadto był na to surowy i prawy; obowiązek miał za świętość. A jeżeli uczuł co, milczał, i nawet oczom milczeć kazał. Przeszło więc tylko chwil kilka, pełnych wyższego uroku, które zostaną obojgu w skarbcu pamięci drogiemi czystej białości perłami.

Parę łez rozczulenia, kilka marzeń raju godnych, kilka westchnień z serca ku niebu wysłanych, to było wszystko co Zosia pozwoliła sobie zachować w najskrytszym serca tajniku, gdy została żoną pana Ignacego.

Jakie było jej pożycie z mężem, na cóż opisywać?! Dzieje tych drobnych cierpień, bolów szpilkowych, których świat nawet rozumieć nie chce, które świat lekceważy, nikogo nie obchodzą. Ot! przesądy romantyczne! krzykną obojętnie a z szyderstwem na każdy jęk boleści takiej, który przecie jest drganiem kurczowem serca. Co więc przecierpiała biedna Zosia, która wnet poznała męża, to zamknęła w sercu na zawsze; uzbrojona w cierpliwość anioła, bole niezrozumianego serca nosiła prawdziwa męczennica, jakby kolącą włosiennicę.

Bóg też ją pocieszył. Pocieszył czystej wiary natchnieniem, pocieszył czystem ojcowskiem prawie przywiązaniem pana Stanisława, pocieszył nareszcie urodzeniem syna jedynaka. Jakie bole, jakie cierpienia, jakie smutki są tak mocne, by ich kobieta nie zapomniała, gdy zostanie matką. Na głowę też Eugieniusza zlała Zofia cały zdrój tych wszystkich uczuć, jakie wpieściły w nią rodzice, jakie przemarzyła i przebolała w walce z prozą życia.

Tak przeszło lat dwadzieścia od urodzenia pana Eugeniusza, którego wkrótce poznamy. Wracajmyż teraz nazad do salonu wyżynieckiego.

Pani Zofia weszła do niego z pewną nieśmiałością, i nawet w oczach jej dostrzedz można było nieco pomieszania. Przechodząc przez cieplarnię, musiała zapewne usłyszyć żwawą rozprawę, a może też i które ze słów wymienionych doszło jej uszów. Major postrzegł ten wyraz na twarzy bratowej, i zbliżył się do niej pospiesznie.

— Dzień dobry, wyrzekł z układnością starego wiarusa, pocałował piękną bratowej rączkę, i uśmiechem zdawał się ją zaspakajać. Uśmiech ten pani Zofia wynadgrodziła uśmiechem, któremu nadaremnie chciała nadać pozór wesoły.

Pan Ignacy tymczasem spojrzał tylko na nich z pod oka, i także uśmiechnął się, ale uśmiechem nieco szyderczym. Temu to idealnemu uczuciu, łączącemu brata i żonę, w którego ocenienie nie wdawał się nawet, bo niedbał o nie, zawdzięczał on bardzo wiele. Jakoż rad był

z niego, chociaż w duszy żartował sobie z obojga, a nawet głupcami nazywał, sam nie będąc w stanie zrozumieć żadnego szlachetniejszego uczucia.

I w rzeczy samej, dla bratowej to szczęścia major poświęcił całe życie swoje. Przed ożenieniem się pana Ignacego gospodarował on czas jakiś na majątku wspólnym i na stosowną tylko czekał chwilę, by się nim podzielić. Lecz gdy się brat ożenił, major rozpoznawszy bliżej stosunki majątkowe, przekonał się, że odbierając swoją połowę, zniszczyłby brata do reszty. I cóżby nawet zrobił odebrawszy. Życie jego już i tak było skrzywione, bo major należał do ludzi, których uczucia równie są silne jak i stałe. Nie upomniał się zatem o swoje, i pozostał w Wyżyńcach, wyrzekając się nawet tej każdemu człowiekowi na droższej niezawisłości, a cóż dopiero człowiekowi w pewnym już wieku, wojskowemu, który przywykł rozkazywać drugim. I niedosyć na tem, ale sam jak najzawzięciej gospodarował, i jeżeli dotąd pan Ignacy zupełnie nie zbankrutował, winien to był trudom i usiłowaniom braterskim. Z czasów żołnierskich zostało majorowi nieco gotówki, nareszcie brał z Francyi pensyjkę za krzyż legii honorowej, którą mu pod Mozajskiem sam Napoleon przypiął; wszystko to obracał po części na gospodarstwo, po części na pokrycie niejednej potrzeby domowej, chowając się wszakże z tem jak najzawzięciej, jakby z grzechem jakim. Pani Zofja mimo całej naiwności i niedoświadczenia swego zrozumiała to, jakoż jej wdzięczność i przyjaźń dochodziła granic prawdziwie idealnych; ona uwielbiała to prawdziwie złote serce poczciwego pana Stanisława. Pan Ignacy jak mówiliśmy żartował sobie tylko z tego uczucia, i ani mu przyszło na myśl być bratu wdzięcznym za to jego zupełne zaparcie się i poświęcenie.

— Kochają się po swojemu! tem lepiej dla mnie; pomyślał i tym razem.

I zbliżył się do żony z uśmiechem zimnym, jak jego serce a nic nie znaczącym jak jego głowa. Ucałował także jej rękę z przesadną grzecznością, i pociągnął za taśmę od dzwonka.

Była to pora śniadaniowa. Pan Ignacy jako człowiek wykształcenia europejskiego i dyplomata trzymał się zwyczajów angielskich. Weszło dwóch długich i chudych drągali, ubranych w liberje mocno wytarte, których objętość przypomniała lepsze czasy i tłustszych poprzedników, i przygotowali wszystko do śniadania a l'anglaise, to jest do herbaty z dodatkiem rozmaitego jadła.

— Przechadzałaś się ma chère po parku? zapytał pan Ignacy żony, zajętej przyrządzeniem herbaty.

— Chwilę tylko, bo mi właśnie przyniesiono list....

— List? zapytał mąż z niespokojnością.

Od dawna nie znał innych listów, prócz od wierzycieli, a nie odbierał żadnych pism chyba od sądu....

— List zapraszający nas na zabawę....

— I gdzież to w naszej okolicy bawić się zamyślają? ciekawym bardzo, u którego z tych naszych szlachciców?..

— Zabawa ma być w Niżyńcach....

— W Niżyńcach! i nas tam śmią zapraszać.... do aptekarza, czy może do justycjariusza?

— To są imieniny Henryki....

— Pani Krajkowskiej, żony plenipotenta i dzierzawcy Niżyniec.

— Henryka jest krewną....

— Twoją! przerwał pospiesznie graf Ignacy.

— A więc i naszą! zagrzmiał major.

— Zapewne! zapewne! rzekł pan Ignacy poprawiając się niby. Niewiem, zkąd przyszło twoim rodzicom ma chère Sophie wydawać kuzynkę...

— Siostrę stryjeczną mojej matki....

— A tak, jest tam coś ciotecznego.... ale za jakiegoś Krajkowskiego.

— Krajkowski czy nie!... przemówił major; mniejsza o nazwisko, którem dziś dosyć walają po błocie, ale jest to człowiek uczciwy, który prowadząc interesa swojego pryncypała i małą trzymając dzierżawkę, zasługuje na powszechny szacunek.

— Zkądże pan brat przychodzi do takich liberalnych maksym? Nieznałem pana Stanisława z tej strony.

— Lubię zapewne przystawać z równemi sobie, lecz przyznaję, że równych mnie mogą zniżyć ich postępki, a niższych podnieść prawe i szlachetne ich życie.

— C'est trèz beau!... ale spodziewam się ma chère Sophie że odmówiłaś....

— Jeszczem nie odpisała. Co się tycze nas, Henryka się nawet nie spodziewa, bo wie, że my mało gdzie wyjeżdżamy, ale ona chciałaby poznać Eugeniusza, o którym dowiedziała się, że przyjechał do nas.

— I złapać go dla której z córek swoich.

— Mężu!...

— Dziwnie pleciesz panie Ignacy, jak na dyplomatę. Ciekawy jestem, coby Krajkowskim przyszło z Eugeniusza. Oni potrzebują na zięcia nie grafa, ale człowieka co ma pewny majątek.

Zofja rzuciła na majora spojrzenie na poły dziękczynne, na poły przestraszone. Ale pan Ignacy doskonale i bez zakrztuszenia się połknął tę pigułkę.

— Tam przecie będzie całe towarzystwo miasteczkowe. Czyż można dopuścić, aby się Eugieniusz tak kompromitował, z tą całą trzodą śmiesznych i głupich figur.

— Nie zaprzeczam, że tam są figury śmieszne może, tem ci gorzej dla nich. Ale cóż to ma kompromitować Eugieniusza. I czy pan Ignacy myśli, że między naszemi towarzystwami niema rażących śmieszności.

— C'est toute autre chose!

— Henryce byłoby to tak przyjemnie.

*

— I zabawiłby się! dodał major; lepiej niż że chodzi ze zwieszoną głową i oczami rozmarzonemi....

— Czy major myśli, że może Eugieniusz.... przerwała matka z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Ja tylko myślę, mówił major, że dla młodego człowieka lepiej, gdy szaleje, skacze i sceny wyprawia, niż gdy jak nasz Eugieniusz, odda się nadto marzeniom złudnym, może poetycznym, ale zawsze bezużytecznym, osobliwie w naszem życiu prozy.... Samotność w jakiej żyjemy, dla niego najgorsza!

— Widzisz mężu!...

— Nie dajże czekać ma chère posłańcowi, i odpisz grzecznie ale odmownie.

— Z odpisem nie mam co się spieszyć, bo posłaniec pojechał jeszcze do Łypkowiec.

— Do Glinieckiego?...

— Z podobnem zaproszeniem dla niego i córek....

— Tak!... no!... no!... przeciągnął pan graf i zamyślił się.

W tej chwili otworzyły się drzwi, i wszedł przez nie cudnej urody młodzieniec z niezwykłym wyrazem na twarzy. Był to Eugieniusz, jedynak państwa Wyżyńskich. Dwa czułe spojrzenia pobiegły ku niemu: matki miękkie, pieściwe, stryja męskie ale nie mniej pełne serdecznego przywiązania. W matce przeważało tkliwe rozczulenie, w majorze pewien rodzaj dumy.

(C. d. n.)

Szczęśliwa godzina.

Kto w życiu płakał wiele,
Za łzy pociechę otrzyma,
A ty mi mówisz aniele,
Że dla nas szczęścia już niema!

Bóg krzyżem nas obdarza,
Lecz gdy się zmyje przewina,
To i w życiu nędzarza,
Wybije szczęścia godzina.

Sierota łzy osusza,
Płomienia szuka w iskierce,
I błogo zaśni jej dusza,
I żywiej uderzy serce. —

Wtedy z niebios krainy
Schodzą do niej anieli;
My tylko naszej godziny,
Gdy biła — nie słyszeli!...

J. C. Z.

POPAS W CHĘCINACH.

Wyjątek z pamiętników niedrukowanych.

(Dokończenie).

Mało też mogę powiedzieć, z grona moich współwyznawców w taki sposób jak ja, w nieszczęściu doznali pomocy.

Ale żeby człowieka poznać, jakim jest lub może być w istocie, trzeba przedewszystkiem zdjąć z niego tę powłokę brudów i ciemnoty, pod którą poczciwość i szlachetne uczucia tak często się kryją. Pan Niemcewicz zaczął ze mną od tego, i dla tego mam dzisiaj to wewnętrzne przekonanie, że chociaż wiarę przodków zachowałem, jestem jednak wiernym synem mojej ojczyzny, i tak dobrym jak inni waszego wyznania obywatelem, i zdaje mi się nawet, że skutkiem nabytych wyobrażeń, niedopuściłem się żadnego w życiu czynu, który przy zdaniu sprawy przed Bogiem i ludźmi kazał by mi się wstydzić, chociaż jako człowiek wiele i bardzo wiele razy zbłądzić mogłem, ale ja panie błąd, od występku rozróżniam.

Skutkiem potrzeby obcowania z mieszkańcami nowego świata w krótkim czasie byłem w stanie z łatwością rozmówić się po angielsku. Dziś po tyluletniem nieużywaniu tego języka, niewiem czy bym go użyć potrafił.

Ale kiedy już doskonale czytałem i pisałem po polsku, pan Niemcewicz niewyczerpany w dobroci dla mnie, zaczął mnie uczyć po francusku. Skutkiem tej nauki i mojej usilności przyszedłem znowu do tego, że nie tylko w tym języku potoczną rozmowę prowadzić mogłem, ale nawet z pomocą słownika czytałem niektóre książki francuskie.

Z największem zajęciem czytałem w ówczas T e l e m a k a. Mam do tychczas to samo dzieło w bibliotece, dziś go jeszcze z przyjemnością odczytuję, i przypominam sobie owe szczęśliwe, wieczorne chwile, w których panu Niemcewiczowi z tego com czytał zdawałem sprawę. Tłomaczył on mi obszernie myśli i dążność autora, których w ówczas pojąć jeszcze nie mogłem.

W roku 1800. wielka zaszła zmiana w życiu i interessach pana Niemcewicza. W tym roku bowiem ożenił się z panią Livingston- Klan, bardzo zacną damą. Była to wdowa, miała jedynego syna z pierwszego małżeństwa, i odtąd mieszkaliśmy w Elizabethown, w New-Jersey.

Te jednak nowe stosunki żadnej niesprowadziły zmiany w opiece, jaką mnie mój dobroczyńca otaczał, i dziś uwielbiać muszę pamięć tego człowieka, który jak w początku w pośród niedostatku, troski, tęsknoty za krajem i obawy o niego, tak też i później po zawarciu związków małżeńskich i z poprawieniem sobie niejako losu, zawsze tyle chwil poświęcał dla dobra mojego.

Od tego czasu do zatrudnień naszych, dotąd jednostajnych i zwykłych, przybyły nowe. Pani Livingston- Klan,

czyli raczej już pani Niemcewiczowa, miała swój własny dom w miasteczku Elizabethown, i kilkanaście morgów gruntu za miastem. Były więc godziny wolne od prac literackich pana Niemcewicza, wolne od nauk ktore panu Piotrowi, pasierbowi swemu i mnie udzielał, a nawet były dnie całe, któreśmy wraz z nim i domownikami uprawie gruntu poswięcali. Sadziliśmy, szczepili drzewa, kopali ziemię i siali, i było to życie prawdziwie patryarchalne.

Po takiej pracy, której z taką gorliwością na wyścigi oddawaliśmy się wszyscy, czekało nas z powrotem w domu pełne słodyczy przyjęcie i posiłek choć skromny ale smaczniejszy nad wszystkie wymyślone zbytkiem potrawy.

To życie, pełne nowego dla mnie zajęcia, naraz jeden doznało wstrząśnienia.

W połowie bowiem 1802. roku pan Niemcewicz odebrał list z Polski, donoszący mu o śmierci jego ojca.

Okoliczności krajowe niestawiały przeszkody, a potrzeba urelugowania interessów spadkowych, skłoniły pana Niemcewicza, iż podróż do Europy przedsięwziął.

Ja pozostałem w Elizabethown.

Pomimo całego przywiązania do pani Niemcewiczowej i do jej młodego syna Piotra, chwila rozstania się z p. Niemcewiczem była dla mnie nader bolesną.

Pojmowałem już odległość drogi, w którą się puszczał, troskliwość moja o niego przewidywała niebezpieczeństwa które spotkać go mogły, a rozdzielając się z nim chociaż na czas, jak nas upewniał, ograniczony, zdawało mi się że się rozstaję na zawsze z tem wszystkiem co miałem najdroższego.

W półtora roku dopiero bo w 1804 r. powrócił nareszcie oczekiwany tak długo p. Niemcewicz.

Nie jestem w stanie opisać panu radości jaką cała rodzina, cały dom, a nawet wielu zm ieszkańców Elizabethownu przejęci byli.

Mnie się jednak zdawało, że nawet sama pani Niemcewiczowa więcej odemnie powrotem Jego cieszyć się nie mogła.

W krótce po tym powrocie przedsięwzięli państwo Niemcewiczowie wycieczkę w różne prowincje Ameryki.

W podróży tej, w której i ja udział miałem, odwiedzaliśmy krewnych pani Niemcewiczowej i znajomych pana Niemcewicza.

Wiele też w ten czas poznałem sławnych i znakomitych ludzi, jako to: Washingtona, Johna Adamsa, Jefersona i Hamiltona.

Teraz właśnie z tych oto pamiętników pana Niemcewicza, któreś pan u mnie zobaczył, dowiedziałem się, że owi Adams i Jeferson, obadwa z kolei prezydenci zjednoczonych stanów Ameryki, w jednym i tym samym roku, jednego dnia i tej samej prawie godziny pomarli.

W podróży tej zwidziliśmy także spadek rzeki Niagary. Powrót pana Niemcewicza, ta cała wycieczka tyle zajmująca i widok tych olbrzymich cudów natury upajał mnie szczęściem i zadowolnieniem.

W roku 1806. pan Niemcewicz odebrał znowu listy z Polski, a w nich wiadomość o nadziejach dla naszego kraju.

Wiadomość ta przemogła wszystkie inne względy stosunków domowych. Sprowadził brata swojej żony i za jego pośrednictwem przełożył żonie konieczną potrzebę powrócenia do kraju.

Pani Niemcewiczowa w żaden sposób do opuszczenia Ameryki nakłonić się nie dała.

Co to było płaczu i smutku, to trudno opisać. Wszelako od raz powziętego zamiaru nic pana Niemcewicza wstrzymać nie mogło.

W jego przekonaniu wyższe i świętsze nad wszystko były obowiązki dla ojczyzny.

Ale i ja już w ówczas pojmowałem co jest ojczyzna. Zrozumiałem uczucie pana Niemcewicza, i najusilniej go prosiłem, ażeby mnie wziął z sobą. Miałem jakieś wewnętrzne przeczucie że do Ameryki więcej nie wróci.

I tak się też stało!

W krótce po najtkliwszych pożegnaniach z żoną, z pasierbem, z przyjaciółmi i z znajomemi, puścił się pan Niemcewicz wraz ze mną w tę wielką i daleką podróż, w której nadzieja oglądania szczęśliwszej ojczyzny nieodstępnie nam towarzyszyła.

Podróż tę odbyliśmy pomyślnie. Zabawiliśmy czas jakiś w Paryżu, a w Dreznie zastaliśmy polaków, którzy na dworze króla saskiego nowy rząd księstwa warszawskiego składali.

Z tych pamiętam najlepiej panów Stanisława Potockiego i Tomasza Łubieńskiego.

Jakie w ówczas towarzyszyły wypadki tym wielkim zmianom co do naszego kraju a większym jeszcze nadziejom, to panu jako współczesnemu dobrze wiadomo.

Z powrotem do kraju ojczystego, czynność obywateli dobrze myślących była większą, pełną ofiar i poświęcenia, a rok następny wymagał nieraz potrzeby zniesienia się i porozumienia na drodze tajemnej nie tylko z temi rodakami którzy w kraju mieszkali, ale nawet i z temi, którzy pod ten czas za granicą jeszcze bawili.

Pan Niemcewicz wtajemniczony był w to wszystko, a ja, ja panie byłem tym wiernym posłannikiem, który tak w kraju jak za granicą porozumienie się to wzajemne ułatwiał.

W tenczas to poznałem jenerała Dąbrowskiego w Poznaniu, jenerała Sokolnickiego w czasie oblężenia i zdobycia Sandomierza, i innych wielu znakomitych panów, po całym kraju rozproszonych. Raz nawet miałem szczęście przedstawionym być naszemu walecznemu wodzowi, księciu Józefowi.

Jak się ta wojna 1809 roku, mała co do rozmiarów a wielka co do skutków skończyła, to panu także wiadomo.

Zdawało się, że na długi czas kraj nasz w pokoju i w tym bycie, jaki w ówczas odzyskał, zostanie.

Rok jednak 1812 i następności jego wstrząsły znowu całym światem i naszą ojczyzną.

W tym czasie właśnie rozłączyłem się z panem Niemcewiczem, zawarłem związki małżeńskie, i w skutku tych przyszedłem do posiadania tego o to domu w Chęcinach.

Bóg najwyższy nie odmówił mi błogosławieństwa swego. Jestem ojcem kilkorga dzieci. Byt mój materyalny, chociaż szczupły, przy pracy i poczciwości wystarcza na utrzymanie domu i dzieci. Za zbiorami i za zyskami lichwiarskiemi nie goniłem i nie gonię.

Od czasu jednak, jak w tym mieście osiadłem rzadsze już stosunki moje z panem Niemcewiczem były. A wieleż to znowu i jakich kolei kraj nasz doznał.

W roku dopiero 1831 pan Niemcewicz w przejeździe do Krakowa dom mój nawiedził i u mnie nocował. Było to niestety! raz ostatni, w którym tego czcigodnego starca i dobroczyńcę mego widziałem.

Zawistne losy znowu go w obce kraje wygnały. A i tam, daleki od ziemi rodzinnej, daleki od swoich, nie zapomniał o mnie, o swoim wiernym i przychylnym wychowańcu.

W końcu bowiem 1841 roku odebrałem list z Paryża, donoszący mi że pan Niemcewicz w dniu 21. Maja tegoż roku żywot swój zakończył, i że mnie w upominku 4,000 franków z szczupłego swego majątku zapisał.

Rachowałem się z sumieniem własnem, rachowałem się z całą moją życzliwością dla niego, i pytałem sam siebie czyli na tak wielki dowód pamięci, na tak nową łaskę obok tylu już wyświadczonych mi dobrodziejstw, zasłużyłem?!. —

O! panie! próżno bym się silił wypowiedzieć żal jakiego w ówczas doznałem, odmalować uczucie jakiem serce moje przejęte było.

Legat ten jednak przyjąłem jako dowód najdroższej dla mnie pamięci po tym ze wszech miar czci godnym mężu. —

W krótkim czasie po odebraniu tej wiadomości wystarawszy się o paszport, pojechałem do Paryża.

Z Paryża w towarzystwie jednego ziomka pospieszyłem do Montmorency, i tam na grobie pana Niemcewicza, tego patryarchy polskiego, tego mojego ojca i dobroczyńcy, wzniosłem gorącą modlitwę do Boga, o niebo dla niego.

Z 4,000 franków, testamentem mnie zapisanych, odebrałem tylko mało znaczącą kwotę na koszta podróży, resztę zaś przekazałem biednym, prawdziwie biednym tułaczom. —

Dzisiaj, w moim wieku podeszłym żyję już tylko wspomnieniami przeszłości, prosząc Boga najwyższego nie już dla siebie, ale dla dzieci, o lepszą, dużo lepszą przyszłość.

Może też Bóg modłów moich wysłucha!...—

Przepraszam pana za to zbyt długie opowiadanie, ale chciej pan wierzyć że w wspomnieniach tych najświętszej doznaję pociechy.

— Owszem, winienem ci zacny gospodrzu podziękowanie za tę przyjemność, jakiej słuchając opowiadania twego doznałem. —

W krótkim czasie potem opuściłem Chęciny i późno w nocy do Kielc zdążałem.

Na drugi dzień w sprawie mojej pomyślny wyrok zyskawszy, wracając do Krakowa, nocowałem znowu w Chęcinach. —

Wynotowałem sobie daty i szczegóły opowiadania Silberberga, i podług nich w pamiętniku moim wiernie je zapisałem.

W miesiącu Wrześniu
184... roku.

NOWE DZIEŁA.

Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Ermancyi

przez

Dr. Antoniego Zanowicza,

opowiedział Dr. T. Tripplin.

(Ciąg dalszy).

Królem Sandwichu był Kau-Pke-Huli. Młody i przystojny mieszka w zamku warownym, ubiera sie w mundur oficera angielskiego. Król ten zaprowadził u siebie rząd konstytucyjny, i oddał państwo swoje pod opiekę angielską. Królowa Kini-Teli, bardzo przystojna, młoda jeszcze kobieta przyjmowała także podróżników z perłami na szyi, wartującemi najmniej 15.000 rubli srebrnych. Szpeciło ją tylko że miała na środku czoła wytatuowane złote słońce, po bokach czoła gwiazdy; na jednym policzku lwa skaczącego, na drugim łuczniku przyklękującego z napiętym łukiem, na brodzie zaś małego koziorożca. Ta zodjakowa toaleta niekoniecznie jej była do twarzy.

— Czego tak patrzysz ciekawie na mnie, panie Albino? spytała naszego lekarza.

— Podziwiam pani twoje wdzięki naturalne i nabyte sztuką, odrzekł grzeczny lekarz.

— Nic to jeszcze na twarzy! ozwała się królowa na to. Ale żebyś pan wiedział jak ja pięknie tatuowaną jestem na ciele, mianowicie na nogach.

Na dowód czego pokazała mu z uszczerbkiem etykiety wszystkie te cuda sztuki tatuowania.

Szczegółki tego rodzaju, jakkolwiek pocieszne dosyć, nie wiele nauczyć mogą czytającego podróże I po prawdzie, nie warto podróżować, aby zbierać podobne anegdotki, których nie ruszając się z miejsca, pełno znaleść można we wszystkich gazetach.

Wstępuje dalej p. Zanowicz, do wysp murgrabiankami czyli Nuka-Hiwa nazwanych, do których charakterystyki donosi nam, że płeć piękna jest tam prawdziwie piękna, ale do życia wyuzdanego bardzo skłonna.

Wracają do Otajty; kapitanowi Riffat udaje się za pomocą darów i świetnego wystawienia zysków jakie można zdobyć w Kalifornii, przyciągnąć królowę na swoją stronę. Gwiazda Pritcharda upada. Królowa robi układy z Francją, do czego przybycie eskadry francuzkiej pod dowództwem admirała Dupetit - Thouars, niemało się przykłada. Rozmaite intrygi francuskie są dosyć ciekawe, chociaż nie dowiadujemy się nic nowego, cała bowiem ta Pritchardowska sprawa znana doskonale z gazet. Najlepsze w tem wszystkiem są zabiegi z powodu zbliżającego się parlamentu Otajtskiego, by uzyskać szanownego Porter - Mea, brata przyrodniego króla małżonka, najznakomitszego mowcy parlamentowego. Jakoż otwiera się parlament. Porter - Mea rozmaite robi wnioski naprzeciw cudzoziemców mieszania się w sprawy publiczne. Wnioski te jednomyślnie prawie przyjęto; darmo się zżymała z początku królowa, zmiarkowawszy jednakże, że inaczej być nie mogło, przechodzi sama na stronę francuzów. Pritchard i wzbogaceni missjonarze angielscy muszą oddalić się z Otajty.

Zabawne jest postępowanie poufałe admirała francuskiego z królową. Nazywał ją po prostu: moja ty stara przyjaciółko! mój ty czarny aniele! przy czem łapał za włosy i uszy, i klepał po twarzy. Królowa zatem znajqc go już od dawna nazywała go starym pijakiem, kundlem morskim, i ciągle dobierała mu się do peruki.

Przez ten czas romans z Talają postępuje coraz dalej. Kochają się oboje szalenie, i czują że już nie mogą żyć bez siebie. Zapóżno przychodzi p. Zanowiczowi na myśl co dalej robić, bo zostać nie może na wyspie Eimeo, zrobiwszy układ z kapitanem na ciąg całej podróży, ani też indjanki z sobą na okręt brać nie może. Oboje rozpaczają i rozmawiają tak czule, że prawdziwie dziwić się potrzeba, zkąd Indjanka młoda i naiwna przyjść może do tak wyrafinowanej uczuciowości, jaką zdradza w samotnych z kochankiem rozmowach. Ona wszystkie trudności jego europejskich stosunków pojmuje, i przystaje na to by czekać na niego. On składa uroczystą przysięgę w Moraju rodzinnym że przed końcem roku wróci niezawodnie. A jeżeli nie wróci, Talaja musiałaby pójść za jakiegoś krewniaka królowej, stręczonego koniecznie przez nią.

C. d. n.

Rozmaitość.

Jana Duklana Ochockiego pamiętniki wydaje teraz J. J. Kraszewski. Korzystali z tych pamiętników Rzewuski i Korzeniowski w swych powieściach. Mimo to wydanie całkowite jest nieoszacowanej wartości, bo żaden z tych pisarzów nie wyczerpnął dostatecznie tych skarbów. Oto n. p. jeden szczegół. Dwóch młodych ludzi w Warszawie wyzwali się na rękę i wyjechali do Jeziornej; u jednego z nich na sekundzie był podpułkownik Cichocki, znakomitej rodziny potomek, protegowany przez Króla i lubiony od całej familii, a w szczególnych łaskach u księcia Józefa Poniatowskiego. Powróciwszy z Jeziornej, gdy począł z tego pojedynku zdawać sprawę u księcia Józefa, Cichocki, opowiadając jak oba przeciwnicy gracko stawali i bili się tęgo, jak się nawzajem poobcinali, począł się unosić nad jednym z pojedynkujących, a nie mogąc dobrać wyrazu na oznaczenie jego zręczności, odwagi i krwi zimnej, zawołał w końcu: To prawdziwa T ę ż y z n a.

Wyraz ten, na prędce jakoś stworzony, tak się podobał księciu i jego przybocznym, że mu odtąd honorowe miejsce dano w codziennej terminologii i pochwyciwszy zaraz w obieg puszczono. Odtąd waleczny oficer był tężyzną, mężny żołnierz tężyzną, grzeczny i miły chłopak tężyzną, nawet piękna kobieta, posiadająca wszystkie pociągające uroki młodości i wdzięku, a w ostatku i dzielny koń zwali się jednostajnie t ę ż y z n ą. Nareszcie cały niemal naród stał się tężyzną, bo zapatrzywszy się na wzór owych młodych ludzi, jakiemi byli podówczas książę Józef Poniatowski, książe Eustachy Sanguszko, książe Kazimierz Sapieha Generał Artylleryi i Marszałek Sejmowy Litewski, Michał Wielohorski Generał, Kazimierz i Adam Rzewuscy, pierwszy Pisarz koronny, drugi Kasztelan Witebski, Janusz Jenerał-Inspektor i Józef Szef pułku swego imienia, Ilińscy, Adam Walewski Brygadyer, Działyński, Czapski, Niesiołowski, wszyscy trzej Szefowie pułków swoich imion, Jan Potocki i inni, chętnie ich naśladował.

* Litograf paryski, Lemercier wynalazł papier takiej własności, że na nim każdy artysta z łatwością rozpowszechnić może arcydzieło swego talentu. Rysunek z papieru przenosi się na kamień i rozmnaża w tysiące litografij. Do dziś dnia większość malarzy cofała się przed trudem rysowania na kamieniu, i tym sposobem znakomite ich utwory popularyzowały się tylko przez nędzne kopje. Proceder tak zwanej a u t o l i t o g r a f i i podaje nam rysunek bezpośrednio z ręki artysty. Przeszło 100 artystów mniej więcej znanych, wiąże się dziś z zakładem Lemerciera.

* Maurycy Wolf wydaje powieść Tripplina pod tytułem: podróże po Księżycu. Jest to szerokie pole do puszczenia wodzy fantazji, a wiemy, że na niej Tripplinowi nie brak. S. Orgelbrandt poezje Prusinowskiego wydaje. Prusinowski ma wiele łatwości, prostoty wyrażenia, a mianowicie jasności, którą na pierwszem kładziemy miejscu, bo co nam po najpiękniejszych poematach, jeżeli ich rozumieć nie będziemy mogli. Zapowiadają nam także wydanie 4 tomów poezji Al. Grozy. Znają już go czytelnicy z utworów w różnych pismach czasowych. Groza pomiędzy ukraińskiemi poetami niepospolite zajął już miejsce.

* Nakładem autora, w Wilnie, w drukarni pod firmą Józefa Zawadzkiego, wyjdzie w roku bieżącym «Ziemianin,« czyli łatwy sposób powiększenia dochodów za pomocą wiejskiego gospodarstwa. Praktyczne podręczne dziełko, obejmujące treściwe wiadomości o rolnictwie, o hodowli wszelkiego rodzaju domowych zwierząt, ich chorobach, leczeniu; o pszczołach i t. d., tudzież zbiór mało dotąd znanych, lub zupełnie nowych zaradczych w domowem gospodarstwie środków przez Jana Sikorskiego.

* Ciekawe wyścigi odbyły się tego poniedziałku. Wyjeżdzający z Brzeżan właściciel tych dóbr. hr. Stanisław Potocki, założył się z oficerami od pułku huzarów: baronem Josiką, hrabią Palffy i p. Sirmayem iż w 6 godzinach odbędzie podróż do Lwowa. Cena wygranej była 500 złr. I hr. Potocki odbył te 12 mil w pięciu godzinach i minut 14, stanął u rogatki lwowskiej, i jeszcze na powrót, zwolnionym już biegiem dla wytchnienia koniom, wyjechał do Winnik naprzeciw zakładającym się, którzy rozstawnemi za nim z Brzeżan pędzili końmi. Dodać do tego musimy iż konie były mierzyny, rasy polskiej, kupione za 350 złr. m. k. Bryczka podróżna kryta, a w niej czterych mężczyzn i zwykłe kuferki podróżne. Konie niedoznały najmniejszego uszkodzenia.

Przyjechali od dnia 7. do 9. Listopada do Lwowa.

Hr. Siemiński Wilhelm, z Pawłosiowa. Hr. Borkowski Jan, z Mikołajowa. PP. Gnoiński Alex., z Krasnego. Jachimowski Alfons, z Retzu. Józef Weinfeld, z Buczacza. Napadiewicz Alex., z Więckowiec. Lisłowski Józef, z Jasionowa. Morawski Ignacy, z Oleszy. Brohm Karol, z Czerniowiec. Glixelli Teodor, z Glinian. Winnicki Tytus, z Liska. Zagórski Mieczysław z Wołkowa.

Hr. Krasicki Edmund, z Liska. Hr. Komorowski Ign. z Chorobrowa. PP. Czajkowski Jan, z Bóbrki. Wiszniewski Henryk z Dobrzan. Białobrzeski Stan., z Dziedziłowa. Zborowski Julian z Toporowa. Kozicki Maryan, z Siekierzyniec. Kriegshaber Antoni, z Tarnopola.

Wyjechali od dnia 7. do 9. Listopada ze Lwowa.

Hr. Starzyński Leopold, do Mszanic. Hr. Poniński, do Manasterzysk. Hr. Rzewuska, do Krakowa. PP. Br. Hagenowa do Krakowa. Lincbauer do Przemyśla. Czerkawski do Brzeżan.

Hr. Fredro, do Mościsk. Hr. Potocki, do Gajów. Hr. Drohojewska, do Złoczowa. Br. Brunicki Leon, do Bartatowa. P. Sirmay, do Gajów.

Kurs telegrafowany z Wiednia 7. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{1}{8}$	Pożyczka 5%	$75\frac{1}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{5}{8}$	Akcye banku	954
Londyn za 1 funt szterl.,	11.3	Kolej północna	$2042\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$71\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	132	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	18	Pożyczka narodowa . .	$78\frac{5}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówką			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	11	złr. 5	kr	14
Dukat cesarski	«	5	»	15	» 5	»	18
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	—	» 9	»	4
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	42	« 1	»	43
Talar pruski	»	1	«	40	» 1	«	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	13	» 1	»	15
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	90	«	15	90	»	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		68	»	15	» 68	«	50
5 proc. pożyczka narodowa		78	»	15	» 79	»	—

Lwów, 9. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 złr. 30 kr. do 34 złr. 30 kr. — Żyta po 28 złr. — kr. do 34 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 13 złr. 55 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 19 złr. 15 kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 47 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. Cetnar siana 2 złr. 18 kr. do 3 złr. — kr. — Centnar słomy 1 złr. 42 kr. do 2 złr. 18 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 134 z roku 1855.

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Alzog Jan, Historya powszechna kościoła. w 8ce. Petersburg i Mohilew. 1855. z przedpłatą na 3 tomy 8 złr.

Auleitner Ant., Przewodnik leśny. Zbiór treści najważniejszych działań gospodarczych. w 8ce Warszawa 1850. 1 złr.

Auleitner Ant., Gospodarstwo leśne. Proste zasady hodowania, urzą-dzania i użytkówania lasów. Z rycinami i tablicami. w 8ce Warszawa. 1853. 2 złr.

Bartoszewicz Julian, Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie. Z drzeworytami w 8ce. Warszawa 1855. przedpłatą na 13 zeszytów 13 złr. 45 kr.

Kaczkowski Zygmunt, Wnuczęta. Powieść. w 8ce. Petersburg i Mohilew. 1855. 4 tomy 10 złr.

Tripplin Dr. T., Nowa podróż na około ziemi. w 8ce. Warszawa. 1855. 3 tomy 8 złr.